

Teatr im. Bogusławskiego w Kaliszu: **Między USTAMI A BRZEGIEM PUCHARU** Marii Rodziewiczówny. Adaptacja: Maria Puchała, reżyseria: Izabella Cywińska, scenografia: Kazimierz Wiśniak, układy taneczne: Jan Uryga (fot. Grażyna Wyszołmirska)

## RODZIEWICZÓWNA NA PLACU

Kłopot z tymi niegdyś autorkami książek o miłości niezłomnej i silniejszej nad śmierć! Kłopot lecz zarazem i wygoda. To wstyd, że nie posiadamy współczesnego romansu i że w tym kraju, w trzydzieści blisko lat po rewolucji, wzruszamy się losami krzywdzonej przez arystokratę szlachcianki. Ale przy pewnej licencji poetica (uprawianej w stosunku do Mniszkówny) oraz wzięwszy pod uwagę, że awansowaliśmy jako całe społeczeństwo, można uznać ostatecznie, że w przypadku *Trędowatej* — kierunek naszych wzruszeń jest

zgodny z dialektyką dziejów i, ogólnie biorąc, postępowy. Zresztą, nie mamy wyboru. Cóż poza dziełem nieśmiertelnym a już klasycznym pani Mniszek i kolejnymi wydaniami *Pestki Kowalskiej* pozostaje na placu? Nie widzę, nie słyszę. Wbrew felietoniście *Literatury*, który udowadnia — z cytatami — jak to wspaniale przedstawia się erotyka w książkach pisanych dziś. No, ale Sprusiński widać ma to „szkiełko i oko”, którego brak mniej gorliwym szperaczom, zawiedzionym w jałowych oczekiwaniach na bardziej całościowe potraktowanie tematu, a nie chcących się zadowolić wybranymi fragmentami przygodnej prozy...

Z tą erotyką i miłością teatr bierze się więc na sposób. Nic dziwnego. Państwo Segal i Mniszkówna są — praktycznie biorąc — na rynku niedostępni. Teatr ma tu pole do działania, wkraczając w obszar pusty i dyszący społecznymi potrzebami, jak ongiś pierś Stefci Rudeckiej falował pod spojrzeniem Ordynata. Bo nie mówimy tutaj o żadnej tam lekkiej nad — czy pod — scenie; mówimy o teatrze całą gębą... Przed dwoma laty Kalisz wystartował z *Trędowatą* w przesłicznej, pastiszującej — bez przesady — oryginal wersji reżyserskiej Macieja Prusa. Niewinnie biała muślinowa Stefca płynęła przez scenę w labędzim tańcu do wtóru muzyki Beethovena, a kiedy umierała połowa sali podnosiła mokre chusteczki do oczu, sarkając na tę drugą, która w bardziej podniosłych momentach wybuchała salwami śmiechu. Spektakl zakontraktowała nawet „Estrada” i teatr kaliski objechał w triumfalnym tournée cały kraj.

Nie upłynęło wiele czasu i ten sam teatr, tym razem w reżyserskiej wersji Izabelli Cywińskiej, wzięła za warsztat powieść Marii Rodziewiczówny, której sam tytuł już pobudza do marzeń: *Między ustami a brzegiem pucharu*...

Czego spodziewać się po teatrze, kiedy raz po raz sięga do takiej literatury? Niczego najlepszego zapewne. I jakkolwiek (podobno?) — *Rodziewiczówna* zachwycał się sam Żeromski, a

lam się. Na czym tutaj budować misterny, uroczy w swojej dwuznaczności spektakl w stylu Prusa? Miłość tam mocna aż po grób (czy aż po pojedynek rywali). Zmieniająca do niepoznania bohatera — hrabiego (naturalnie!), który — z początku zięjąc nienawiścią do Polaków i upokarzany przez swych ziomków za swoje mieszane, polsko-niemieckie pochodzenie — pod wpływem miłości do pięknej a niedostępnej poznaniarki, skromnej mieszkanki dworku, wyrzeka się prusactwa i zostaje wśród pracowitych Słowian. Od nich uczy się cnot wszelakich: gospodarności, wzniosłości uczuć, wierności i wszystkiego dobrego. Dzisiaj z takiej miłości można się pośmiać. Zwłaszcza dzisiaj. Dla kogoś, kto przyjechał do teatru spoza znanej ze skrzętności Wielkopolski, kwestie Niemca-hulaki, podnoszącego cnoty gospodarskie Polaków, brzmią zgoła surrealistycznie. Ale przecież nie one są w powieści najważniejsze. Najważniejszy jest jej duch; patriotyczna wena, b. nie powiedzciec furia, dla której *Rodziewiczówna* manipuluje swymi bohaterami trochę jak kukłami, dla której — nie zajmując się „drobiazgami” (nadającymi jednak prozie smak i kolor) — skąpi im owej, może grafomańskiej, ale jakże wynalazczej z dzisiejszego punktu widzenia poetyczności (ten cudowny język *Trędowatej*!) owiewającej Stefci i jej otoczenie. Jednakże z patriotyzmu i zacnych uczuć narodowych, z solidarności — pewnie

Jerzy Klejny

### BALLADA O MUZYKALNYM KACIE

Z telewizyjnego kabaretu

„GOLIBRODA”

Okrutny kat żył sobie raz,  
Ach, ile głów on w życiu naciął!  
A w przerwach jeśli znalazł czas  
To swoją śpiewkę nucił kacią!  
O lari rą, o lari rą o lari rą o lari rą...  
I taka fama szła przez świat —  
Jakiż to muzykalny kat!

I nucił przed, i nucił po,  
A nawet wśród swej powinności,  
Tak w miarę sił, by lepiej szło —  
Zabawiał śpiewką swoich gości!  
O lari rą, o lari rą, o lari rą o lari rą...  
I taka fama szła przez świat —  
Jakiż to muzykalny kat!

I głowę tracił tam kto żyw,  
Zupełnie serio, bez przerośni,  
Radował kata ten czas żniw —  
I wtedy śpiewał jeszcze głośniej!  
O lari rą, o lari rą, o lari rą, o lari rą...  
I taka fama szła przez świat —  
Jaki to muzykalny kat!

Aż wszystko się zmieniło raz  
I w całym kraju było święto —  
Bo nadszedł wreszcie taki czas,  
Gdy tego kata także ścięto!  
O lari rą, o lari rą, o lari rą, o lari rą...  
Tak pośpiewywał sobie lud  
Kiedy na szafot kata wiódł!

Lecz zanim włos mu z głowy spadł  
To wszyscy tam wiedzieli świetnie,  
Że już jest gotów nowy kat —  
Który tamtemu głowę zetnie!  
O lari rą, o lari rą, o lari rą, o lari rą...  
Falszował odtąd tak co dzień —  
Kat nowy — głuchy niby pień!  
O lari rą, o lari rą, o lari rą, o lari rą...  
Może się dowie kiedyś świat —  
Który z tych dwóch był lepszy kat!?

Wiesław  
Komasa  
(Jan)  
i Elżbieta  
Jarosik  
(Jadzia)



„zaczytane” egzemplarze w bibliotekach świadczą same za siebie, to przecież *Trędowata* przy tej suchej, pozbawionej wdzięków stylistycznych, prawdziwie pozytywistycznej powieści, prezentuje się jak orzeł przy zmokłej kurze.

Wzięłam sobie do ręki *Między ustami* przed wycieczką do Poznania (gdzie kaliszanie zjechali na występ gościnny), nie chcąc poprzestawać na bladym wspomnieniu z lat młodości. I przerazi-

przesadnej, lecz zrozumiałej w przypadku powieściopisarki, której twórczość inspirowało wspomnienie powstania styczniowego — jakob żartować nie wypada... Reżyser teatralnej adaptacji znajduje się pomiędzy... Scyllą a Charybdą.

Nie żartowała z uczuć tych, na szczęście, Izabella Cywińska. Wbrew temu, czego można by się spodziewać po tytule, spektakl *Między ustami a brzegiem pucharu* w wersji kaliszkiej okazał

się przedstawieniem całkiem serio. Albo prawie serio. I to zdecydowało jeżeli nie o absolutnym jego sukcesie, to o wyminięciu pewnej bardzo groźnej pułapki. Można by w nią wpaść opracowawszy sobie raz na zawsze obowiązujący schemat wystawiania sentymentalnych powieści dla dorastających pańienek i stosując go bezwzględnie. Powieści, które okazują się jednak na wagę złota w sytuacji współczesnej posuchy w dziedzinie romansu. Maria Rodziewiczówna jako na pozór pozbawiona umiaru propagatorka polskości okazuje się jednak osobą dobrze znającą swój zawód. Wie, że ożywiony najbardziej szlachetnymi intencjami propagator poniesie fiasko jeśli nie posłuży się chwytem-„samograjem”, a więc oczywiście wątkiem miłosnym. Do tego potrzeba z kolei jednak albo żywych, przekonujących protagonistów, albo żywego toku wydarzeń a najlepiej jednego i drugiego.

W powieści drugi warunek jest spełniony; z żywością postaci — jak wspomniałam — jest gorzej. Na scenie dzieje się prawie tyle samo co w tekście; natomiast postaci, którym teatr używa ciała i krwi stają się dzięki grze młodych aktorów kaliskich bardziej przekonujące niż w tekście. Nawet niekiedy rodzajowe, jak w przypadku brata Jadwigi Chrzastowskiej, Jana (brawurowo zagranego przez Wiesława Komasę) i jego narzeczonej Cesi Żdżarskiej (świetna, żywa Joanna Orzeszkowska). Straszliwie papierowa w powieści postać głównej bohaterki Jadwigi (debiutująca Elżbieta Jarosik) na scenie nabiera ru-

Janusz  
Michałowski  
(Adam  
Głębocki),  
Elżbieta  
Jarosik  
(Jadzia),  
Wiesław  
Komasza  
(Jan),  
Joanna  
Orzeszkowska  
(Cesta),  
Ewa Mirska  
(Babka).



mienców. Prawdziwie uroczym hrabią Wentzlem Croy-Dülmenem jest Zbigniew Lesień, ponurym Głębockim — Janusz Michałowski a niezłomną babką-Polką — (z wyjątkiem jak się okazuje, szczególnie wobec własnych wnuków) Ewa Mirska. Zespół gra w sposób wyrównany, choć ta szóstka wybija się zdecydowanie. Warto dodać, że nawiązane w akcie pierwszym wątki, szybko zmierzają ku rozwiązaniu w akcie drugim; stąd jego o wiele bardziej żywe tempo. Tym razem

leitmotivem muzycznym jest fragment z *Nokturnu f-moll* Chopina powtarzający się w różnych wersjach instrumentalnych, towarzyszący każdemu pojawieniu się Jadwigi i miłosnemu duetowi kochanków. Przedstawienie zjednuje nas ostatecznie walorem nieoczekiwanym: psychologiczną analizą uczucia miłości i — szczególnie w II akcie — analizą subtelnego mechanizmu owej gry, która im dłużej grą pozostaje, operuje domysłami, niedopowiedzeniami, półcieniami — tym le-

piej i dla niej, i dla obojga zaplątanych w sieć Amora i — co w przypadku Rodziewiczówny ma smak szczególny — dla Sprawy... Gustowną i funkcjonalną, trochę w stylu Grottgerowskim scenografię zaprojektował Kazimierz Wiśniak. Bowiem reżyserka przeniosła akcję powieści, w oryginalnie dziejącą się tuż przed pierwszą wojną światową, w lata po sześćdziesiąte ubiegłego stulecia. A koncepcja inscenizacyjna zrealizowana została konsekwentnie.

BARBARA KAZIMIERCZYK

## teatr jaki jest

### Następcom Boya

Sezon się skończył, sezon się zaczyna. Zestawiono już listy nowych tytułów na afisz, w zapomnienie poszły tytuły zużyte. Wśród nich było kilka wartości nieznanych — prapremiery Siekierskiego, Wawrzaka, Adamczaka. Wystawiały je sceny małe, które posiadając gorzką świadomość, że Iredyński czy Grochowiak nie odstąpią im nowych swych tekstów, też mają swoje ambicje. Ze zaś — prócz ambicji — mają i swolch terenowych pisarzy, więc ich grają. Grają ze świadomością ryzyka. Grają ze świadomością, że zanim mass media otoczą ich pracę krzykiem, widz już przestanie chodzić, więc potem i krzyczeńie nie będzie po co. Więc ryzyko jest spłacane samą ciszą. Przynać trzeba, że nie wysoka to rekompensata za trud, który może istotnie przybiera za ledwie wymiar lokalnej ciekawostki repertuarowej, acz z drugiej strony... z drugiej strony nikt nic nie wie.

Nie udało mi się czytać żadnego studium krytycznego o owych dramatach Siekierskiego, Wawrzaka, Adamczaka. Siekierski to przecież autor, który i o

stronice *Dialogu* zawadził; Wawrzak wzbudził szerokie zainteresowanie swą debiutancką powieścią *Linia*, z której film ma robić sam Kazimierz Kutz; Adamczak — nazwisko całkowicie w literaturze nieznanne, zatem tym bardziej frapujące. A w prasie cisza. Nawet recenzenci *Teatru* nie zdążyli na prawyświetlenie dojechać. Sztuki mignęły przez afisz, znikły w niebycie.

Zaś byt materializuje się w tasiemcowych rozprawkach o *Samej słodczy*, o *Potępieniu doktora Fausta*. Krytycy kołując wstydliwie wokół tematu, wykrztuszają w końcu nieśmiało, iż Iredyński popełnił sztukę anemiczną (anemią tą zarażają w tej chwili widzów dwa czołowe teatry w Polsce). Krytycy tłumaczą widzowi, o czym mówi Sito, milcząco akceptując stan, że sam widz znikome ma szanse, by myśl Sity z magmy rozpięchniętych słów wyluskać. (Faustyczną magmę wziął za warsztat czołowy w Polsce inscenizator!) I w końcu krytycy stwierdzają, że z dramaturgią współczesną w naszym pięknym kraju nie jest, niestety, najlepiej.

Do Zabrze, by zobaczyć Siekierskiego — do Bielska, by zobaczyć Adamczaka — do Częstochowy, by zobaczyć Wawrzaka — nikt z tych co płaczą, jakoś się nie pofatygował. Oczywiście, może miał rację. Może Siekierski spłodził seryjny produkcyjniak, Adamczak tandetną farsetkę, a Wawrzak prymitywną sztukę obyczajową. Ale to wszystko za ledwie przypuszczenia, za ledwie pytańniki. Jedynym faktem jest fakt niewiedzy, która graniczy tu z lekceważeniem podstawowych obowiązków, jakie dobrowolnie bierze na

siebie człowiek, informujący społeczeństwo o tym, co nowego w zakresie teatru.

*Teatr* sygnalizował przed kilkoma miesiącami w specjalnym zeszytce dedykowanym polskiej dramaturgii, że nastąpiła ważka przecena wymagań stawianych w tym zakresie pisarcom przez samych ludzi teatru. Wolno przypuszczać, że wymienione tu prapremiery (nawet w swoich błędach!) stanowiły jakąś praktyczną egzemplifikację zjawiska. Zostały zlekceważone. Nawet przez sam *Teatr*. Leniwym dedykuję więc wspomnienie o Boyu, który — choć dosyć miał listków laurowych do wieńca — pracowicie towarzyszył wszystkim, nawet najbardziej z pozoru blahym próbom nowego w dziedzinie dramatu rodzimego. Profitowała mu pracowitość. Po latach dorobił się pośmiertnego tytułu pierwszego recenzenta teatralnego, który poznał się na Witkacym. A zatem? — Następcy Boya, jazda do Zabrze!

... że Boy nie musiał jednak jeździć tak daleko? Ze tych debiutujących, startujących w teatr Witkacych, Szaniawskich, Cwojdziańskich, Wandurskich mógł oglądać od razu na miejscu? To prawda. Aleć w tym felietonie nie o prawdę idzie, lecz o konkretną pomoc dla nowej dramaturgii. A na naśladowanie Boya może się ktoś jeszcze da namówić, jak zaś namawiać naszych wspaniałych, twórczych, dynamicznych, nowoczesnych dyrektorów metropolitalnych, by naśladowali zrutynizowanego Szyfmana, zdziesiątego Trzcienieckiego, zbzikowanego Horzycę? To by było w fatalnym tonie. Bez szans i bez sensu.

NN